



ŚMIECH NA SALI

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Zteatrem kojarzy mi się to, że wolę chodzić do kina” – napisał pewien uczeń warszawskiego liceum w ankiecie przeprowadzonej przez młodą teatrolożkę, a naszą autorkę. Ankieta miała charakter badania socjologicznego o ciekawej metodologii: opierała się na żywych reakcjach, a nie martwej wiedzy. Uczniowie odpowiadali pojedynczymi słowami lub związkami wyrazów, a Maria Babicka analizowała ich pola semantyczne. Co jej wyszło, sprawdźcie sami, artykuł *Z teatrem kojarzy mi się...* drukujemy w dziale *Przestrzenie teatru*. Tutaj zdradzę jedynie, że z odpowiedzi młodych wyłaniają się trzy perspektywy rozumienia teatru. Jako dzieła sztuki, które może zmienić nasz sposób myślenia o świecie i sprawić, że poczujemy się lepiej. Jako miejsca samorozwoju, dzięki któremu stajemy się kimś innym, ciekawszym, bardziej świadomym. I jako kanału komunikacji, dzięki któremu inni ludzie stają się nam bliżsi i bardziej zrozumiali, za sprawą nie tylko wypowiedzianych przez nich słów, ale także spojrzeń, gestów i sposobu poruszania się po scenie.

Zwłaszcza ta ostatnia kategoria wydaje się dziś istotna. „Młodzi teatr kojarzyli po pierwsze ze słowem »emocje« lub »emocja« – pisze Babicka. – Wspominali o »radości«, »smutku« czy »wzruszeniu«. [...] Po drugie, młodzi przywoływali określenia, które zakładają interakcje: »rozmowa«, »dialog«, »opowieści«, »przekaz«, »słowo«. Po trzecie, wymieniali wyrażenia związane z ciałem. [...] To jeszcze inny rodzaj przekazywana informacji – komunikowanie pozawerbalne”. Teatr pozostaje więc w życiu młodych ludzi czymś naprawdę ważnym, oczywiście pod warunkiem, że nie wybiorą się do kina...

Ankieta wśród publiczności teatralnej przeprowadza się od wielkiego dzwonu, na co dzień zainteresowanym pozostaje obserwacja widzów. O tym, że ich reakcje bywają zaskakujące, wiedzą nie tylko aktorzy. Ostatnio przekonałem się o tym w Teatrze Śląskim, gdzie Maja Kleczewska wyreżyserowała *Pod presją*, z Sandrą Korzeniak w roli kobiety chorej psychicznie. Kilkanaście niezwykle precyzyjnie skomponowanych scen we wnętrzu mieszkania, ukazywanych w planie realnym i na filmowym ekranie, z przebitkami na bar, katowicką ulicę czy plażę, robi wstrząsające wrażenie. *Pod presją* to doskonały przykład dramaturgii wewnętrznej, gdybyśmy się jeszcze posługiwali tą dawną kategorią. Poznajemy trzy dni z życia Mabel, które kończą się jej skrepowaniem i odwiezieniem do szpitala psychiatrycznego, z epilogiem w postaci sceny powrotu. Tematem nowego spektaklu Kleczewskiej są skutki rodzinnej przemocy, która na scenie zostaje tylko zasugerowana. Uzdolniona muzycznie kobieta w dzieciństwie poddawana była przez ojca domowej tresurze, a działo się to w atmosferze, która pozwalała mężczyźnie przekraczać kolejne granice intymności dziewczynki. Sceny gry na wiolonczeli czy łaskotania dziecka na sofie są w spektaklu filmową projekcją wspomnień chorej, która w dorosłości przeżywa innego rodzaju presję. Jest nią konieczność wypełniania ról córki, żony, matki w warunkach kompletnego nieprzystosowania społecznego.

Kleczewska kieruje spojrzenie widzów na aktorkę, pokazuje ją w oddaleniu i zbliżeniu, gdy samotnie tkwi w łóżku, śpiewa albo krąży po mieszkaniu. Szczególnie dotkliwe są te sceny, w których konfrontuje ją z innymi ludźmi, zwłaszcza dziećmi, ale także z mężem, jego kolegami, rodziną. Sandra Korzeniak w roli Mabel zachowuje się nienaturalnie, robi dziwne miny i mówi dziwnym głosem, wykonuje też zaskakujące gesty, niekiedy wręcz błaznuje. Im bardziej jednak wydaje się śmieszna, tym mocniej przeżywamy jej dramat.

Napisałem to rytualne, recenzenckie „my”, choć dobrze wiem, że mówię o swoich własnych wrażeniach. Oczywiście jako krytyk spodziewam się, że podobne odczucia towarzyszą też reszcie publiczności, ale przecież to tylko domysł i intuicja, która niekiedy podlega ostrej weryfikacji. *Pod presją* miało swoją premierę pod koniec marca, od tamtego czasu zagrano je pewnie kilkanaście razy. Widzowie Śląskiego już wiedzą, że jest to tzw. trudne przedstawienie i nie wykupują wszystkich biletów. Tego wrześniowego wieczoru, który tu wspominam, parter widowni wypełniony był może w połowie, co wydaje mi się zupełnie normalne. Nienormalna była raczej reakcja niektórych, podkreślam, widzów, którzy potraktowali spektakl Kleczewskiej jak filmową komedię i śmiechem reagowali na szaleństwo Mabel. Niewykluczone, że była to reakcja obronna na stresujące sytuacje (psychologia zna taki mechanizm). Wesołość u publiczności mogły też wywoływać liczne znaki lokalności, choćby tanie ubrania i robocze kalosze kolegów Nicka. A może grupa młodych kobiet i mężczyzn, która już po spektaklu ustawiła się przed wyjściem i głośno dowcipkowała na temat Mabel, po prostu pomyliła adresy i zamiast do kina przyszła do teatru? Nie wiem, pewne jest jedno: gdyby tych rozbawionych widzów poddać socjologicznemu badaniu z cyklu *Z teatrem kojarzy mi się...*, punkt „komunikacja” wypadłby w nim najślabiej. ■